

## PAPIEŻ W TATRACH\*

*Odpoczynek trzeba kończyć. Ojciec Święty i w tym wolnym dniu nie jest całkowicie wolny: podlega prawu dobiegającej końca drugiej pielgrzymki do ojczystego kraju, z nieubłagany rytmem upływającego czasu. Wstał więc ze swojego krzeselka, szedł do płynącego bliźutko potoku i zanurzył w jego srebrzystej wodzie swoje ręce. Zrobiło się nagle cicho, wszyscy zamilkli, gdy tą srebrzystą tatrzańską wodą Następca świętego Piotra się przeżegnał. Trudno nie było widzieć w tym początku wzruszającego pożegnania z ukochanymi Tatrami.*

Jan Paweł II nie jest pierwszym i chyba nie będzie ostatnim papieżem, którego umiłowanie gór stanowi jeden z elementów jego osobowości.

Wiele jednak wskazuje na to, że obecny Papież jest także w tym względzie postacią wyjątkową. Związki z górami w jego życiu rozpoczęły się bardzo wcześnie, bo niemal od samego dzieciństwa i najwcześniejszej młodości. Wszak urodził się w sąsiedztwie pięknego Leskowca, okolonego zewsząd wieńcem uroczych pagórków otwierających daleki horyzont Tatr i Babiej Góry. Młodość, ta wczesna i ta dojrzała, nie tylko nie zerwała tych związków, ale je zacieśniła tak, iż w okresie kapłaństwa stają się one pasją, która na stałe zadomowi się w Jego życiu. Nie stanie jej na przeszkodzie ani biskupstwo, ani kardynałat. Dopiero papieństwo z jego wyjątkowymi ograniczeniami, z górą przelicznych i przenikliwie czasochłonnych obowiązków powiedziało stanowczo „veto” temu umiłowaniu, zamykając „górala z Wadowic” w kamiennym świecie Watykanu, kierując jego ścieżki życia na inne niż tatrzańskie czy gorczańskie szlaki pielgrzymich wędrówek.

A jednak i teraz Papież z Wadowic dochowuje wierności swojej pierwszej miłości do przyrody, do gór, do ukochanych nade wszystko Tatr. Ostatecznie bowiem to nic innego, jak tylko ta właśnie wierna miłość stanowi klucz do owego czerwcowego czwartku, w którym Papież stał się na nowo autentycznym turystą, chodzącym po tatrzańskich ścieżkach po to, żeby zanurzyć się w pachnącym żywicą lesie i chłonąć urok zielonych dolin oraz urwistych górskich zboczy, by w ten sposób, jak dawniej, skorzystać z dobrodziejstwa jakżeż potrzebnego odpoczynku. W tej swoistej wierności Jana Pawła II przyrodzie i górom jest coś wyjątkowego, jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalnego.

---

\* Niniejszy tekst przedrukujemy za: *Obecność. Karol Wojtyła–Jan Paweł II na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dar i odpowiedzialność*, red. M. Filipiak, A. Szostek MIC, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2008, s. 324-337.

A w tej bytności w ukochanych Tatrach na zakończenie drugiej pielgrzymki do Ojczyzny, poza potwierdzeniem wspomnianej wierności, kryje się coś więcej aniżeli zwyczajna wyprawa w góry po odpoczynek i przyjemność. Jest w tym jakiś fragment życiowej filozofii, jakaś warstwa głębokich ludzkich doznań, które raz przeżyte, wyciskają się w świadomości trudnym do zatarcia śladem, ale co najważniejsze – stają się programem, wytyczną życiową, pomagającą uczynić spotkanie z przyrodą, a zwłaszcza ze światem gór, wielką ludzką wartością.

Próba więc przybliżenia tej papieskiej filozofii wypoczynku w górach niech będzie wprowadzeniem do relacji o tamtej tatrzańskej wyprawie Jana Pawła II, która budziła tyle zaciekawienia i emocji w ostatnich dniach historycznej pielgrzymki.

### U ŹRÓDEŁ FASCYNACJI GÓRAMI

Na samym początku była rodzinna, pagórkowata ziemia wadowicka, a więc ta część ojczyzno-krainy, z którą związane były lata wrażliwego na otoczenie dzieciństwa i wczesnej młodości. Jest rzeczą normalną, że ziemia ojczyzna, z jej charakterystycznym profilem, zapada w duszę człowieka, stając się jakimś elementem kształtującej się osobowości, a to z kolei rodzi wyjątkowe uwrażliwienie na jej charakterystyczny profil i jej walory. Wadowice i okolice to kraina zalesionych kopców i kompleksów górskich przeciętych zielonymi dolinami Skawy i Soły. Szczyty Leskowca, Madohory, Magurki czy Jaroszewickiej Góry pociągały urokiem różnorodnych lasów i perspektywą pięknych i rozległych widoków, upajającą ciszą i szansą młodzieńczej przygody. W późniejszych już krótkich arcybiskupio-kardynalskich wypadach „po obiedzie” łatwo można było się przekonać, że ten Syn wadowickiej ziemi, oczarowany jej pięknem, przemierzył ją wzdłuż i wszerz, poznając każdy jej zakątek, chłonąc – zwłaszcza z górskich wędrówek – głęboki podziw i umiłowanie ojczyzno-pogórza. Czar tego pięknego regionu wsiąkł głęboko w świadomość dziecięcia, a później młodzieńca, przyszłego duszpasterza akademickiego, profesora uniwersytetu, arcybiskupa i kardynała, poddanego i chętnie poddającego się magii gór.

To z początku spontaniczne zauroczenie górską przygodą z biegiem czasu poszerza się i pogłębia. Pęd ku szczytom zaprowadzi w inne, pozabeskidzkie regiony polskich gór, od Tatr poczynając, po Bieszczady, Gorce i Sudety. Równocześnie pojawiają się elementy głębszego podejścia do obcowania z przyrodą w ogóle, a z górami w szczególności. To te właśnie elementy z biegiem czasu złożą się na to, co można określić jako przyszłego Papieża teorię obcowania z przyrodą.

Podstawowy człon tej teorii stanowiła troska o maksymalnie skuteczny wypoczynek.

Było rzeczą powszechnie znaną, że ksiądz arcybiskup Wojtyła to człowiek tytanicznej pracy. Tempa i natężenia jego różnorodnej aktywności często nie wytrzymało najbliższe otoczenie. W pracy tej kryło się dążenie do maksymalnej skuteczności, jak najdalej posuniętej efektywności. Poza zaangażowaniem w osiągnięcie tego celu systematycznego wysiłku i poświęcenia student z Angelicum, wikary z Niegowici, profesor, a wreszcie pasterz Kościoła krakowskiego żywił głębokie przekonanie, że współczynnikiem tak zorientowanej pracy jest systematycznie praktykowany wypoczynek. Wiedział on dobrze, że takie jest prawo ludzkiej pracy, iż przedzielana ona być musi momentami świadomie wprowadzanej do niej przerwy czy choćby chwilowej, ale prawdziwej jej odmiany. Znadto dobrze znał człowieka, żeby nie wiedział o tej nieodpartej dialektyce pracy i wypoczynku również w swoim własnym życiu.

I po ten wypoczynek, stanowiący konieczny wymóg skutecznej pracy, szedł Arcybiskup krakowski w góry z głębokim przeświadczeniem, że to one właśnie pozwolą wymogowi temu zadośćuczynić w sposób niezawodny. Szedł więc na długie wakacyjne wędrówki po całorocznej pracy, ale dokonywał również wypadów w ciągu roku, żeby w rytmie różnorodnej wyczerpującej działalności odprężyć się i nabrać świeżości w ciszy i uroku gór, z poszumem i zapachami zielonych drzew i szmerem czystych górskich potoków. Nigdy nie żałował tego poświęconego, ale przecież niezamarnowanego czasu na wypoczynek, ten dłuższy i ten krótszy, bo był to zawsze wypoczynek dla pracy, pracą odmierzany i pracą normowany, a więc maksymalnie intensywny i dlatego właśnie najchętniej spędzany w ukochanych górach.

Rozumiany w taki sposób odpoczynek implikował pewne pierwiastki, które stanowiły warunek konieczny jego faktycznego urzeczywistnienia, a w górach wyjątkowo łatwo możliwy do spełnienia.

Jednym z tych pierwiastków była potrzeba ciszy i samotności.

Życie, jakie prowadził jako profesor i duszpasterz akademicki, a potem biskup suffragan, pasterz rozległej diecezji i wreszcie kardynał zanurzony w sprawy całego Kościoła polskiego i Kościoła powszechnego, było życiem wyjątkowych spraw i przychodzących stale ludzi. Od takiego życia Arcybiskup krakowski bynajmniej nie stronił, ale przeciwnie, włączał się w nie z ochotą i pełną gotowością kształtowania go w duchu dobra i prawdy. Przy takim jednak nastawieniu było jasne, że jeżeli życie to miało nie stracić głębi i miało nie zejść na mielizny powierzchowności, musiało mieć swoje zabezpieczenie. Jednym z takich środków zabezpieczających była ucieczka w samotność, przede wszystkim tę wyłącznie modlitewną, podczas długich godzin spędzanych w kaplicy przy ulicy Franciszkańskiej, ale także i tę częściowo wypełnioną modlitwą, jaką gwarantowały nasycone ciszą góry, zwłaszcza leżące nieopodal Tatry. Tu mógł zostać idealnie sam,

ze swoimi myślami najbardziej trudnymi i skomplikowanymi, bez pośpiechu i czasowego nacisku, z łatwą możliwością odwołania się do pomocy gór.

Jakże wymowne w tym względzie było przygotowanie własnych reko-lekcji watykańskich. Trzeba było tego dokonać szybko, a przecież rzetelnie i odpowiedzialnie. Dla Kardynała z Krakowa, zbliżającego się do podjęcia najwyższej odpowiedzialności, było rzeczą oczywistą, że takie przygotowanie możliwe będzie tylko w jego ulubionej Jaszczurówce, w jasnym domu szarych urszulanek, u wrót ukochanych, ale przede wszystkim będących przybytkiem ciszy Tatr. Kaplica, znajdujące się za oknem góry i stojące w ciasnym pokoiku biurko – oto parametry powstania tego dzieła, które nie zostało chyba bez wpływu na to, co się wydarzyło 16 października 1978 roku.

W górach, poza ciszą ułatwiającą samotność, były wyjątkowo sprzyjające warunki do modlitwy, do kontaktu z Bogiem. Prawie że nietknięty przez ludzkie ograniczone i jakże często deformujące działanie obszar twórczej interwencji Boga urzekał niepowtarzalnym pięknem, płynącym z przebogatej różnorodności szczegółów i cudownej harmonii całości. Góry urzekały, ale i ułatwiały kontakt z Tym, który był ich niezaprzeczalnym Stwórcą i Architektem, ale ciągle jeszcze i głównym Gospodarzem. W tym więc jedynym w swoim rodzaju domu Boga modlitwa stawała się naturalną potrzebą duszy; istniał tu klimat, w którym rozmowa z Bogiem stawała się spontaniczna, wyjątkowo łatwa, a przy tym autentyczna i pogłębiona. Widok piękna i ogromu gór otwierał prostą i niezawodną drogę do zetknięcia z Tym, który jest równocześnie misterium tremendum i fascinosum. Długie godziny marszu w milczeniu, wydawałoby się monotonna, a w rzeczywistości pełnego skupienia przemierzania ośnieżonych tatrzańskich zboczy, zmagania się z wichrem, deszczem czy śnieżycą, stawały się godzinami zanurzenia w modlitwie, zażyłego obcowania z Bogiem. Ich zwieńczeniem, namacalnym wyrazem było odmówienie na koniec z towarzyszami drogi *Magnificat* czy dziękczynnego psalmu.

Ale góry dla przyszłego Papieża były nie tylko wyjątkowo dogodnym miejscem spotkania z Bogiem, stawały się one również okazją do zmierzania się z trudem, do podejmowania długotrwałego fizycznego wysiłku, do zmagania się ze swoistego rodzaju przeciwnościami. W górach wypoczynek musiał być zawsze wypoczynkiem czynnym, zawierającym elementy walki i stawiania czoła różnorodnym niedogodnościom, a więc wypoczynkiem zdobywanym za cenę utrudzenia i poświęcenia. Nie uznawał bowiem Kardynał krakowski odpoczynku „za darmo”, zdobywanego w gnuśnej rezygnacji z wszelkiej aktywności, w zaakceptowanym świadomie leniwym próżnowaniu. Dla niego najlepszym wypoczynkiem był wypoczynek rozumnie pracowity, dynamiczny. I do takiego wypoczynku niepowtarzalne warunki stwarzały góry i mieniące się zielenią i błękitem obszary pojezierza. Tu bezczynność, bezruch, stanie w miejscu były tylko etapem, epizodyczną koniecznością życiową. Prawem

natomiast podstawowym, motywem naczelnym stawało się działanie, pracowite odrabianie „dniówek” (gdyż po chorobie lekarz zalecił mu przynajmniej czternaście dni odpoczynku rocznie w górach), za które zapłatę stanowił wypoczynek gruntowny i wszechstronny.

Góry wreszcie, łono przyrody stanowiło dla przyszłego „duszpasterza całego świata” teren wyjątkowo korzystny dla efektywnego oddziaływania duszpasterskiego, zwłaszcza na młodych. Ten aspekt magii gór i jezior u przyszłego Papieża występował szczególnie intensywnie w okresie zaangażowania w duszpasterstwo akademickie, a więc we wczesnym okresie działalności kapłańskiej, związanym z początkami działalności naukowej i obowiązkami wikariusza na terenie parafii św. Floriana w Krakowie. Sam w poważnym stopniu ukształtowany przez kontakt z przyrodą, wiedział, że wypoczynek przeżywany i zorganizowany na jej łonie stanowi wyjątkowo doniosły czynnik duszpasterskiego oddziaływania na garnącą się do niego młodzież akademicką. Wspólnie realizowane wędrowki uczyły otwarcia na drugich, przebywania w ciszy i samotności, stawały się okazją do razem odbywanej refleksji, dyskusji światopoglądowych, ale i indywidualnych rozmów duchowych, tak bardzo potrzebnych we wczesnej fazie rzetelnej pracy nad sobą. Pobyt na łonie przyrody stwarzał nieocenioną kanwę uczenia się i odkrywania Boga, rozwijania ducha modlitwy, wtajemniczenia w misterium Eucharystii, której możliwość sprawowania w górach pojawiła się szczęśliwie po wojnie.

Z biegiem czasu i w miarę wkraczania na coraz wyższe szczyble godności i odpowiedzialności kościelnych ten duszpasterski wymiar kontaktu z górami został zmodyfikowany i realizowany w postaci spotkań, oczywiście odpowiednio rzadszych, z dawnymi grupami akademickimi. Inną formą tego rodzaju kontaktów z górami były wyprawy w towarzystwie bliskich sobie ludzi, z perspektywą spokojnego dyskutowania o różnorodnych problemach filozoficzno-teologicznych i kościelno-duszpasterskich.

Wymienione aspekty ścisłych związków przyszłego Papieża z górami można by jeszcze na pewno pomnożyć. Niemniej już te, które zostały przedstawione, pozwalają dostrzec ich głęboką podstawę i związane z tym oryginalne podejście do obcowania z przyrodą, a zwłaszcza z górami. Obcowanie to było głęboko przeniknięte troską, by ten czas uczynić maksymalnie i wszechstronnie skuteczną odskocznią od życia wypełnionego po brzegi pracą, wykorzystać na modlitewne spotkanie z Bogiem i zanurzenie się w ciszę.

#### W DOLINIE CHOCHOŁOWSKIEJ I JARZĄBCZEJ

Inicjatywa umieszczenia w planie drugiej pielgrzymki Ojca Świętego jego bliskiego spotkania z Tatrami w formie autentycznie turystycznego wypadu

do jednego z bliskich jego sercu zakątków wyszła – jak się można tego łatwo domyśleć – od osób z najbliższego otoczenia Papieża. Miała ona dwie podstawowe przesłanki. Pierwszą był fakt krańcowego zmęczenia Ojca Świętego pracą, do której miały dojść trudy wyjątkowo wyczerpującego pielgrzymowania po Ojczyźnie. Drugą stanowiło oparte na wieloletniej obserwacji przekonanie, że Ojciec Święty najlepiej odpoczywa w górach. Już podczas pierwszej pielgrzymki i jedna, i druga przesłanka pobrzmiewała w rozmowach rodaków, podbudowując nadzieję, że po Nowym Targu będzie może „skok” na Kalatówki albo na Rusinową Polanę z bliskimi sercu Ojca Świętego Wiktorówkami. Wiadomo, że pierwszym razem wyprawa w Tatry nie tylko nie była planowana, ale nawet nie powiódł się helikopterowy lot nad Tatrami z powodu gwałtownej burzy, która zakończyła spotkanie Skalnego Podhala z ukochanym przez jego lud Papieżem.

Przed drugą pielgrzymką do Ojczyzny w roku 1983, poprzedzoną – jak wiadomo – dramatem z 13 maja 1981 roku na placu św. Piotra i płynącymi z tego bolesnymi konsekwencjami (co na pewno stanowiło dodatkową przesłankę do odpoczynku w Tatrach), chyba dość wcześnie podjęto przygotowania zmierzające do zrealizowania tego bądź co bądź dużego przedsięwzięcia. Otoczone ono było jednak, rzecz zrozumiała, jak najściślejszą tajemnicą. Najlepiej zorientowaną osobą z kręgu sfer kościelnych był ksiądz doktor Bronisław Fidelus, kanclerz Kurii Arcybiskupiej. Ci z drugiego planu dowiedzieli się o czekającej ich przygodzie w dwu etapach. Na pierwszy składały się niesprecyzowane co do miejsca i czasu pogłoski i napomknienia różnych osób – jak się okazało – dobrze wtajemniczonych w sprawę. Drugi etap, stanowiący już konkretną informację, że wyprawa nastąpi rzeczywiście w czwartek, i to do Doliny Chochołowskiej, wypadł już na czas pielgrzymki, na jeden z końcowych jej dni. Przedtem była owa przepiękna, pełna słońca środa z beatyfikacją ojca Rafała Kalinowskiego i brata Alberta Chmielowskiego, z owymi nieprzejrzanymi tłumami, które popłynęły na krakowskie Błonia, by spotkać się ze swoim byłym Arcypasterzem, teraz Następcą świętego Piotra. A potem – w tę samą środę po południu – spotkanie w kaplicy przy ulicy Franciszkańskiej z Papieską Akademią Teologiczną i pod wieczór na Wawelu zakończenie Synodu Metropolii Krakowskiej.

Czwartek 23 czerwca, jeszcze bardziej pogodny i spokojny, rozpoczął się Mszą Świętą o godzinie siódmej o dwu błogosławionych (bracie Albercie Chmielowskim i ojcu Rafale Kalinowskim). Zostali na nią zaproszeni przede wszystkim uczestnicy spotkań, które łączyły się – jak powiedział Ojciec Święty – z Jego „powołaniem kapłańskim naprzód, a potem biskupim”. Przybyli też koledzy z gimnazjum wadowickiego, w czterdziestą piątą rocznicę matury.

Wyjątkowy był klimat tego poranka. Tłumy na plantach i na ulicy Franciszkańskiej przypominały, że spotkanie Papieża z Ojczyzną i z Narodem

trwa nadal. Uszczęśliwiona i wzruszona „rodzinka”, która powstała w wyniku duszpasterskiego zaangażowania dzisiejszego Ojca Świętego, a także uszczuplona już gromada kolegów z ławy szkolnej tworzyły atmosferę dziwnej, ale prawdziwej rodzinności, a podniecenie tych, którym miało być dane uczestniczyć w tym ciągle jeszcze tajemniczo z różnych względów rysującym się papieskim odpoczynku w Tatrach, tworzyło perspektywę niewiarygodnego zderzenia tego pięknego, co było tylekroć dawniej, z tym wyjątkowym, co miało nastąpić niebawem: z pobytem Papieża na tatrzańskim szlaku.

Śniadanie zostało przerwane – dwu „nieurzędowych” uczestników wyprawy zostało wezwanych do zaprezentowania się dowództwu papieskiego helikoptera w osobach dwu panów pułkowników. Oznaczało to urzędowo-państwowe potwierdzenie, że nadzieje i oczekiwania zaczynają przybierać całkowicie realne kształty.

Dobłą godzinę trwały jeszcze przygotowania i do wyjazdu z Polski (Ojciec Święty miał lecieć z Tatr na lotnisko), i do wyjazdu w góry. Usadowieni w autobusie należącym do orszaku, jedziemy w kawalkadzie, na której czele jedzie Papież w swoim dziwacznym pojeździe. A wokół tłumi wpatrzone w jego białą sylwetkę nie tylko oczyma, ale i sercem, całą duszą. Na twarzach radość i duma, miłość i smutek, że to przejazd ostatni, i łzy, dużo łez. Jakżeż inaczej widzi się ludzi i sprawy z tej perspektywy.

Dojazd do Błoń, do tego ich kąta, na którym stoją helikoptery, trwa około piętnastu minut. Mało to i dużo; dla kogoś, kto raz znalazł się z tej strony bariery misterium papieskich odwiedzin Ojczyzny, to bardzo dużo. A potem wszystko już odbywa się błyskawicznie: Ojciec Święty żegna się z odprowadzającymi go osobami, a my, którzy mamy mu towarzyszyć w wyprawie w Tatry, zajmujemy miejsca w helikopterze. Ojciec Święty z księdzem kardynałem Franciszkiem Macharskim wsiada ostatni. Chwila napiętego oczekiwania i helikopter łagodnie odrywa się od ziemi, która jest morzem wyciągniętych rąk i podniesionych głów. Przez chwilę mignie w maleńkich oknach Wawel, sylwetka wieży ratuszowej i wież mariackich, a potem ostatnie skinienie Krakowa ukłonem wieży salezjańskiego kościoła na Dębniakach i ponad kominami huty w Skawinie dołączamy do „zakopianki”, która bez większych odchyłeń zaprowadzi nas na Siwą Polanę. Ojciec Święty, tak jak w czasie dawnych podróży samochodem, najpierw odmawia brewiarz, a potem śledzi przez okienko, jak wygląda ta najbardziej jego ziemia krakowska, z jej pasmami górnek myślenickich, Beskidu Wyspowego, Podhala i wreszcie samych Tatr. A widoczność tego dnia jest cudowna: ani śladu chmur, ani pasemka mgły, jest bardzo zielono i niebiesko. Przepięknie wyglądają pasma Turbacza i Babiej Góry, coraz wyraźniej rysują się spowite w szarą niebieskość Tatry. Drugi helikopter leci obok, w dość sporej odległości, a więc gdzieś tam na wysokości Turbacza. Da to asumpt do twierdzenia, że był to helikopter „papieski”. Nie,

ten ostatni zdążył najprostszą drogą do celu. A o tym, że cel ten był już bardzo blisko, powiedział zaglądający przez okno grzecznie i wzruszająco Giewont. Jeszcze tylko skinienie Tylkowych Kominów, ukłon Osobitej i helikopter zniża się, żeby osiąść na początku drogi prowadzącej do Doliny Chochołowskiej, na wchodzącej na swój sposób do historii polskiego chrześcijaństwa maleńkiej i równiutkiej Siwej Polanie. Zazwyczaj jest ona cicha i pusta, bo stoi na niej jedyna chata góralska Jaśka Szwajnosy, co to za owych dawnych lat tyle razy woził Kardynała narciarza soneckami z Huciska do schroniska na Chochołowskiej. Dziś jest tu gwarno. Obok licznych pojazdów wojskowych – sanitarki, nawet wozy Straży Pożarnej. Na drodze obok łazików wojskowych jest kilka samochodów i – jak zazwyczaj – średniej wielkości autobusik. Po małej kładeczce przekraczamy przydrożny rów i wsiadamy do oczekujących pojazdów. Jako pierwszy rusza jakiś polonez, następnie samochód wiozący Ojca Świętego i kardynała Macharskiego, a potem reszta mniej lub bardziej urzędowych uczestników wycieczki. Jest cicho, pusto, zielono; jaskrawe, ale i nieupalne słońce igra tęczą barw na kwitnących, na szczęście skoszonych łąkach, kładzie się świetlistą zielonością na nieruchomo stojących drzewach, migoce w towarzyszącym nam, rozbawionym potoku. Szybko mijamy polanę Hucisko – miejsce startu tylu wspólnych wypraw, a nieco dalej, po prawej stronie, dawne schronisko Blaszyńskich – tylekroć odwiedzane, najczęściej w drodze powrotnej, by wypić szklankę pokrzepiającej herbaty. No i wreszcie zastępuje drogę obły grzbiet Kulawca, zza którego wygląda osadzony na bładoniebieskim paśmie Długiego Upłazu kopczyk Rakonia. Jeszcze tylko skręcający na prawo krótki zjazd, następnie krótki podjazd, paręset metrów na lewo i wpadamy w zalaną czerwcowym słońcem Halę Chochołowską z blokiem schroniska, z widokiem na tylekroć odwiedzanego Grzesia i potężnie rysujący się Wołowiec. Wysoko na skraju doliny, w okolicy małej kapliczki, widać kierdel owiec z małym pastuszkim. Czy sprowadzony po to, by było jak najbardziej tatrzańsko? Niebawem okaże się, że i owce tutejsze, i bacia prawdziwy z Chochołowskiej przyjmie Wysokiego Gościa w autentycznym tutejszym szałasie.

Na razie mijamy szałas góralski z wyświeżonymi nad podziw jego mieszkańcami i jedziemy wprost do schroniska, które jest ciche i robi wrażenie zupełnie pustego. Są to jednak tylko pozory. Wchodzimy po schodach i w drzwiach, obok wielkiej tablicy informującej o sławnym wyczynie polskich ratowników w ostatnim okresie wojny, w wyniku którego ocalono rannych radzieckich partyzantów, wita Ojca Świętego kierowniczką schroniska pani Pawłowska w otoczeniu ubranych kolorowo ratowników. Jest wielkie wzruszenie, jest taca z pokrajanym oscypkiem, jest naręcze pięknych róż, ale nade wszystko są serdeczne i proste słowa o Tatrach, które z radością i wzruszeniem witają swego wielkiego Przyjaciela i Miłośnika w samym ich sercu. Nie trwa to wszystko



długo, bo czasu niewiele, a trzeba przecież pójść naprawdę w te góry, tak jak dawniej, a więc nie na proponowanych grzecznie wojskowych łazikach, ale w ciężkich turystycznych butach, choć w białej sutannie i z papieskim krzyżem na piersi. Będzie i plecak – niesiony, co prawda, przez troskliwego i czujnego księdza Fidelusa, ale przypominający to „dawniej”, kiedy to ten dzisiejszy Najdostojniejszy Turysta chadzał tędy wmieszany w szary tłum miłośników Tatr.

Ojciec Święty wraz z osobami towarzyszącymi wchodzi do schroniska, jak się okazuje, tylko z pozoru pustego... Na pierwszym piętrze, w holu obok jadalni, zatrzymuje się, bo tu odbędzie się spotkanie z Lechem Wałęsą. Reszta uczestników wyprawy idzie na drugie piętro, gdzie przygotowane są pomieszczenia przeznaczone na przyjęcie Ojca Świętego.

Po pewnym czasie Ojciec Święty nadchodzi, zmienia swoje „uroczyste” obuwie na solidne turystyczne buty i jest gotów do drogi. Zapada definitywna decyzja, że ani Grześ, ani Wyżnia, ale Jarząbcza z jej biało-czerwonymi znakami wyprowadzającymi na Trzydniowiański i dostojną Starą Robotę. Tam będzie i dużo tatrzańskiej zieleni, i towarzyszący beztrudno górski potok, i cudowny widok na zalaną słońcem Wyżnię Chochołowską, obwiedzioną Długim Upłazem, z wetkniętymi w niego Grzesiem i Rakoniem, a dalej Wołowcem i Łopatą. Wszystkie te szczyty, zbocza i doliny zostały przez Ojca Świętego przemierzone wszczep i wzdłuż, w lecie, a zwłaszcza w zimie.

Ojciec Święty z małą grupką towarzyszących Mu osób duchownych i świeckich zszedł energicznie ze schodów schroniska i popularną drogą, dość stromo opadającą w dół, skierował się ku odbijającej paręset metrów innej ścieżce-dróżce prowadzącej do Doliny Jarząbczej. Pogoda była wyjątkowa jak na koniec czerwca i południową porę. Wiadomo, że w górach w tym czasie burze są czymś zwyczajnym. W tym dniu było cicho, słońce świeciło radośnie, ale nieupalnie, niebo było bez chmur, kontrastowało swoim błękitem z zielenią spokojnie stojących lasów.

Pierwszy króciutki przystanek miał miejsce w góralskim szałasie pana Zięby. Ustalono, że dłuższy przystanek będzie tu w drodze powrotnej.

Od szałasu do skrzyżowania na ścieżkę z biało-czerwonymi znakami jest niedaleko. Przekraczamy mostek na toczącym kryniczne wody potoczku (to on właśnie zostanie pobłogosławiony) i zanurzamy się w zielonym żywiole strzelistych świerków i zielonego poszycia leśnego. Idziemy szybko, tak jak się idzie na początku, a nie na końcu górskiej wyprawy. Ojciec Święty jest w świetnej kondycji. Aż dziw bierze, że jest taki świeży po tym prawie trzydniowym maratonie pielgrzymkowym. Wyraźną przyjemność sprawia mu stąpanie po normalnej, górskiej dróżce, raduje go ta soczysta zieleń tatrzańskich lasów, upaja ta niemal dotykalna cisza górskiej doliny. Ktoś próbuje nieśmiało coś mówić, ale co to za mówienie w takich warunkach, w takich okolicznościach,

z „takim” Rozmówcą. Krzyżują się ciche, ale pogodne uwagi między uczestnikami; wszyscy wiedzą jedno: to ma być jego wypoczynek, radosne jego spotkanie z ukochanymi górami. Po paruset metrach las ustępuje zalanej słońcem polanie, u której początku stoi, jak się później okazało, historyczny krzyż, mocno osadzony na solidnej podmurówce. A z polany roztacza się ta wspaniała panorama zboczy Łopaty, Wołowca i Długiego Uplazu oraz sfalowanego piętra Wyżniej Doliny Chochołowskiej. Nie spuszcza my oka z tej na niebiesko zabarwionej dalekiej przestrzeni. Idziemy zwartą gromadą, na której czele idzie Ojciec Święty z wymieniającymi się rozmówcami. W pewnym jednak momencie Ojciec Święty zostaje na przodzie sam; towarzysze drogi zostają w tyle i ściszą prowadzone rozmowy. Chodzi o to, by dawnej tradycji stało się zadość, żeby Ojciec Święty tak jak za tamtych lat, po krótkiej swobodnej pogawędce, został z górami zupełnie sam. Inicjatywa otoczenia została przyjęta skwapliwie i Ojciec Święty w ciszy i skupieniu, wysunięty nieco przed towarzyszącą mu grupę, kontynuował swoją górską wyprawę. Niemal natychmiast w tym samotnym marszu pojawił się w jego ręce różaniec z drewnianych ziarenek nanizanych na brązowy sznurek – różaniec fatimski. Pochylony nieco przy podchodzeniu pod dość stromy garb zalesionego holwegu, w charakterystyczny sposób – z nieco skrzywioną na prawą stronę głową – stanowiący niechybny znak głębokiego zamyślenia, machał tym swoim różańcem, nie zwalniając kroku. Dochodziła niemal godzina dość forsownego marszu. Na kilkadziesiąt kroków od zbaczającego energicznie na lewo biało-czerwonego znaku i majaczącej pośród drzew Wyżniej Doliny Jarzączej ksiądz prałat Stanisław Dziwisz zarządza postój na krótki odpoczynek. Schodzimy ze szlaku w kierunku płynącego obok potoku. Ojciec Święty siada na rozkładanym krzeselku przy również rozkładanym stole, na którym ksiądz kanclerz wyklada przyniesione przez siebie w plecaku zapasy. Jedzenie jest takie, jakie było ongiś: proste, ale starannie przygotowane przez troskliwe siostry. Ceremoniał posiłku jednak jest zdecydowanie inny od „niegdysiejszego”, zwłaszcza przez te rozkładane rekwizyty turystyczne. Chwilami wydaje się, że można, a nawet trzeba było z nich zrezygnować, ale z drugiej strony – do przekonania przemawia refleksja, że przecież sytuacja tamtych czasów uległa radykalnej zmianie i w konsekwencji obowiązują nowe prawa i nowy ceremoniał. Tamto nie może już wrócić w niezmienionej postaci.

Ale odpoczynek trzeba kończyć. Ojciec Święty i w tym wolnym dniu nie jest całkowicie wolny: podlega prawu dobiegającej końca drugiej pielgrzymki do ojczystego kraju, z nieubłaganym rytmem wpływającego czasu. Wstał więc ze swojego krzeselka, zszedł do płynącego bliźniutko potoku i zanurzył w jego srebrzystej wodzie swoje ręce. Zrobiło się nagle cicho, wszyscy zamilkli, gdy tą srebrzystą tatrzańską wodą Następca świętego Piotra się przeżegnał. Trudno

nie było widzieć w tym początku wzruszającego pożegnania z ukochanymi Tatrami.

A potem około pięćdziesięciu minut szybkiego, jak przedtem, marszu i zapowiedziana gościna w góralskim szałasie państwa Ziębów. I tu są oscypki pokrajane do natychmiastowej konsumpcji, są oscypkowe jelonki jako dary dla dostojnego Gościa, są i pamiątkowe zdjęcia niez mordowanie pracującego przesympatycznego Arturo Mari. A potem już trochę na skrót, poprzez halę do schroniska, żeby po krótkim odpoczynku i pierwszym podsumowaniu odbytej wyprawy podczas wspólnego posiłku Ojca Świętego z jej uczestnikami, udać się w powrotną drogę na Siwą Polanę.

Przy wyjściu z gościnnego schroniska Ojciec Święty zauważył na zapleczu ściśniętą gromadkę personelu schroniska. Bez wahania skierował się ku niej, tym bardziej że dojrzał tam wymachujące rączkami dzieci. Wymowne było to spotkanie: Ojciec Święty ścisnął trzymane na rękach matek dzieci przerażone tą niecodzienną gromadą sutann, eleganckich garniturów, a przede wszystkim tą białą postacią przytulającą je do piersi i głaszczącą z miłością ich czoła. Czy dziwić się, że zareagowały niepokojem i fontannami łez? Wymowny i chwytający za gardło był jednak inny płacz, nie tradycyjne łzy wzruszenia, ale autentyczny płacz szczęścia tych dojrzałych kobiet i mężczyzn, wszystkich, którzy tak czekali na to spotkanie, które wydawało się już prawie nierealne, a teraz oto staje się ich udziałem. Krótkie to było spotkanie, ale było, bo powinno było być. Przecież to oni, ci młodzi ludzie wyrwani często ze swoich środowisk rodzinnych przychodzą tu, żeby służyć ludziom gór, zapewnić im bezpieczną przystań po trudach i przygodzie z piękną, ale i groźną przyrodą. I oni, decydujący ostatecznie o tym, że to jedyne uprzywilejowane odwiedzinami Papieża Polaka schronisko tatrzańskie jest, żyje i służy, mieliby się z tym Wielkim Gościem Narodu nie spotkać? To było dla nich nie do pomyślenia i dlatego teraz, w ostatnim momencie jest między nimi, na odległość wyciągniętej ręki. Trudno się dziwić, że wzruszenie przerywa wszystkie tamy i każe tak wymownie, bo przecież z głębokiej radości płakać.

Ale czas jest bezlitosny. Już i tak organizatorzy wyprawy sprezentowali Ojcu Świętemu piętnaście minut przedłużonego pobytu w Tatrach, ale teraz trzeba niestety wracać. Wsiada więc Ojciec Święty z kardynałem do samochodu, a my z pośpiechem zajmujemy miejsca w podstawionych pojazdach i z żalem, że tak szybko to się skończyło, jeszcze raz przemierzamy cichą, pustą, uprzątniętą i wyjątkowo zabezpieczoną Dolinę Chochołowską. W pewnym momencie gdzieś zza drzewa wysuwa się sylwetka żołnierza, który z czapką w dłoni, pozdrawiając serdecznie Ojca Świętego, przypomina o tych, którzy na pewno nie bez wysiłku i poświęcenia czynili ten pobyt w pełni bezpiecznym i dlatego też owocniejszym.

A potem już tylko kilkadziesiąt minut trwający lot tym samym papieskim helikopterem do Krakowa. Zwyczajny lot, a jednak lot niezapomniany z powodu tej papieskiej twarzy, na której było widać tak dużo z tego, co przeżywał Papież żegnający się ze swoimi ukochanymi górami. Z różańcem w rękę, ale już jakimś innym, nie tym z Jarząbcej, z napiętą uwagą, przez cały czas lotu patrzył w maleńkie okno helikoptera. Nie było tym razem mówienia brewiarza, nie było rozmów, nie było nic poza tym w milczącej modlitwie dokonującym się pożegnaniem z całą tą piękną, a także bliską jego sercu tatrzańską krainą gór, dolin, lasów i strumieni, a potem ze Skalnym Podhalem i ziemią myślenicką, no i z tymi najbardziej znanymi podkrakowskimi okolicami. W helikopterze przez cały czas lotu panuje głębokie milczenie. Jego pasażerowie duchowni poszli w ślad Ojca Świętego i wyjęli z sutann swoje różańce, żeby się modlić za niego, za jego wielkie papieskie posługiwanie, za jego kolejną, na pewno bolesną rozłąkę z Ojczyzną.

Do wypełnionego niespokojnymi już tłumami lotniska (przyłot Ojca Świętego uległ dość poważnemu opóźnieniu) helikopter papieski zbliża się od strony Skawiny i Tyńca. Nie będzie już więc spotkania z ukochanym Krakowem, który ledwie gdzieś tam majaczy w oddali. Lądowanie, jak tam na Siwej Polanie, jest spokojne i nad wyraz sprawne. To jednak, co po nim następuje, jest już całkowicie inne, bo na powrót oficjalne, narodowe, uroczyste, z tłumami ludzi, z oficjalnymi przedstawicielami Państwa i Kościoła, z prasą i telewizją. Pobyt Papieża wchodzi na powrót w rytm wielkiego wydarzenia w życiu Narodu i Kościoła. Dzień „własny” Ojca Świętego, ten jeden jedyny dzień w tej pielgrzymce, a kto wie, czy i nie w dotychczasowym pontyfikacie, cudowny dzień spotkania Jana Pawła II z ukochanymi górami, dobiegł swego końca, gdy biało-niebieska ważka helikoptera osiadła na betonowej płycie lotniska w Balicach.

Gdy po odlocie Wielkiego Gościa, szukając dróg wyjścia z lotniska, jeszcze raz trzeba było przejść obok służącej tak wiernie do tej wyprawy w Tatry maszyny, odnosiło się dziwne wrażenie, że tak stojąc w bezruchu, ten cichy i jakby uspiiony papieski helikopter emanuje jakimś osobliwym smutkiem i żalem, że to wszystko już się skończyło, odeszło w bezlitosną przeszłość.

Ale tak naprawdę, to komu innemu było żal i smutno... Choć z tym smutkiem mieszała się dziwna radość i wdzięczność, że dane było tam być.